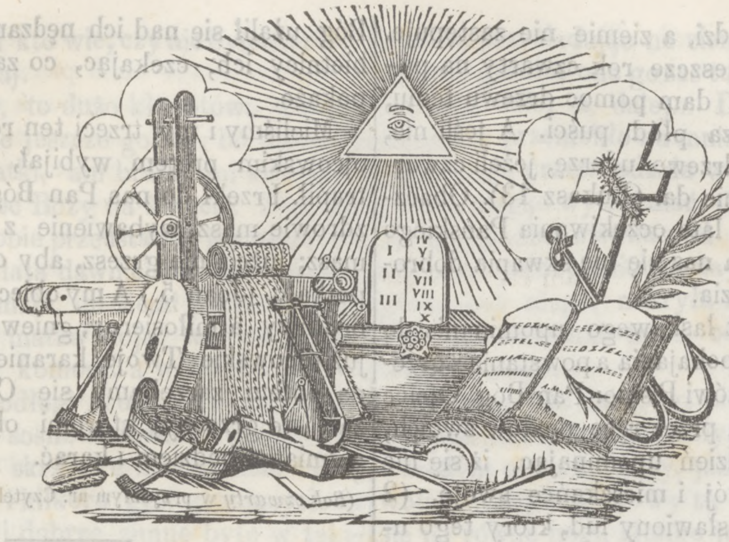
ROK TRZECI.

№ 12.

Warszawa.

Dnia 9 (21) marca 1858.

Niedziela
5ta Postu.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Błagamy Cię wszechmocny Boże! wejrzyj łaskawie na czeladkę Twoję, niech będzie rządzona szczodrą Twą łaską co do ciała, a potężną obroną przechowaną zostanie i na duszy.
(Kollekta na Niedzielę Męki Pańskiéj, czyli Piątą postu, inaczéj zwaną Białą).

KILKA SŁOW
Na Niedzielę Białą (1).

—

Słuchajcie nieba, i bierz w uszy ziemio, co Pan mówi: Wychowałem syny i wyniosłem, a oni mną pogardzili. Poznał wół dzierżawcę swego, i osieł żłób Pana swego; Izrael mię nie poznał, i lud mój nie zrozumiał. (Izajasz I.) Ludowi onemu żydowskiemu objawił się Pan Bóg i wielkiemi go dary swemi jako syny uczcił i nadał, a oni Panem Bogiem swoim, ojcem i dobrodziejem pogardzili, odstępując od Niego i od rozkazania i woli Jego. I grozi im zaraz Prorok, mówiąc: — Biada narodowi grzesznemu, ludziom złością obciążonym, nasieniu złemu, synom złośliwym. Ziemia wasza pusta, miasta wasze ogniem spalone, kraj wasz obcy w oczach waszych pożerają, i spustoszeje i będzie jako chłodnik przy winnicy i jako szopka przy ogr odzie. (Izajasz I. 4.)

Na te słowa wszyscy uszy otwórzmy; bośmy jako oni żydowie, poznawszy Pana Boga naszego i pobrawszy ojcowskie dobrodziejstwa Jego, odstąpili od Niego i jawnemi grzechami gniewamy Go, i długo cierpliwością Jego pogardzamy, i na pewną i nieodmienną sprawiedliwość Jego nie pomnimy, i tak zguby czekać musim, któréj też oni przestępcy nie uszli, jeżeli się nie odmienim, a pokutą się prawą nie wykupim. Ażebyśmy nie myśleli, iż w nowym zakonie nie tak srógi jest Pan Bóg jako w starym, iż nam zesłał syna swego, który jest zastępnikiem naszym od gniewu Jego, słuchajmy, jako tenże Syn Boży takiemiż prawie słowy przegraża się i mówi: Biada tobie Chorozaim, biada tobie Betsaido, i ty Kapharnaum, iżali się aż do nieba wyniesiesz, do piekła spadniesz. (Math. 11) I indziéj tę biedę wielekroć ją powtarzając, na grzeszniki puszcza. Co i przesłaniec jego Jan czyni, i od pokuty Ewangelją poczynając, przyszłym gniewem Boskim, siekierą i ogniem nieugaszonym drzewu niepłodnemu grozi.

Dwie lecie gospodarz drzewa figowego, aby rodziło, czekał, a trzeciego roku siekierą w nie

(1) *Białą* nazwana dlatego, że w pierwszych czasach chrześciaństwa nowo ochrzczeni białe swe szaty, w których przez cały tydzień do kościoła chodzili, w tę niedzielę zdejmowali.

zająć kazał: niech rodzi, a ziémie nie zastępuje. Ogrodnik wyprosił jeszcze rok czwarty na panu swoim i mówił: dam pomoc drzewu temu, okopam, ognoję, aza płód puści. A jeśli nie, już i sam w to złe drzewo uderzę, jeżeli czwartego roku pożytku nie da. (Łukasz 13). Obaczmy, co to za cztery lata oczekiwania Pańskiego nad nami, i jako na nas się nie skwapia dobrotliwy i łaskawy sędzia.

Pierwszy rok jest łaskawego upominania do bojaźni Bożéj, i do pokajania a powstania z grzechów, o którem mówi Pismo: Pan Bóg Ojciec ich, posyłał do nich przez ręce posłów swoich, rano wstając, i codzień upominając, iż się nie skwapiał na lud swój i mieszkańce swoje. (2 Paralip. ult.) Błogosławiony lud, który tego upominania usłucha, jako Niniwczycy i inni. Ale nieszczęśni, o których mówią: śmieli się z posłów Bożych i lekko ważyli słowa ich, i żarty stroili z nich, mówiąc: cóż ten błazen baje?—oto nic niemasz; mamy się dobrze, w pokoju siedzim, Pan Bóg nam wiele dobrego daje. A nie wiedzą, iż ich dobrocią swoją i łagodnością pociąga do siebie, aby grzechów przestali. I nie widzą ani myślą, iż złego szczęście, wielkie jest jego nieszczęście, jako Pismo mówi: *Powodzenie głupich pogubiło je.* (Prov. 1.) to jest, grzeszące, a szczęciu ufające.

Drugi rok jest przykładów, gdy w ich oczach, albo w uszach drugich karze i zabija Pan Bóg, choć mniejsze grzechy mają. Jako mówił do onego ludu swego Pan Bóg: *Patrzcie na Sylo, com mu uczynił.* (Jeremiasz 26.) Patrzcie na siostręż swoję Samaryą, jakom ją wypustoszył i zniszczył i obywatelów jéj w dalekich stron niewolą zagnał. (Ezech. 16.) Szczęśliwy lud, który się cudzą utratą karze, a zapamiętały, który się srogości Bożej, na którą w drugich patrzy, nie boi.

Trzeci rok jest ojcowskiego karania, gdy nas biczem pomału zajmuje, a miecza i żelaza nie rusza. (Genes. 14) Tak Filistyny pierwéj robactwem i szerszeniami karał, niźli je mieczem pogubił. Tak potomstwu Dawidowemu obiecywał, iż je ludzkiemi, to jest miłosiernemi, a ojcowskiemi plagami upominać miał, aby ich nędza i doległość do pokuty obróciła.

Tak Pan Bóg ów lud swój wybrany, jako ojciec dobrotliwy karał. A oni Mu się wypraszali i do Jego służby wracali, obiecywali poprawę i statek przy służbie i rozkazaniu Jego. A Pan Bóg użalił się nad ich nędzami i przestał na obietnicy ich, czekając, co za statek się w nich pokaże.

Mieliśmy i my trzeci ten rok, gdy nas Pan ojcowskim prętem wybijał, złem powietrzem trapił. I rzekł do nas Pan Bóg w te słowa: Otóż zdrowie masz, wybawienie z karania Boskiego masz; jużciż nie grzesz, aby cię co gorszego nie potkało. (Joan 5.) A my obiecujem: już Ojcze dobrotliwy a miłosierny, gniewać Cię nie będziem, już ojcowskie Twoje karanie przyjmujemy, a na potem zarzekamy się Ciebie Pana obrażać, i te grzechy, któremi obciążeni jesteśmy, wymiatać będziem i karać.

(*Rok czwarty* w przyszłym nr. Czytelni umieszczony będzie).

Bracia Rodzeni.

I.

—

Oj! wiem ja to dobrze, że to się ludzie wstydzą swego pochodzenia—jakby to grzechem było, że ten w pałacu, a ten w słomianéj chałupie się rodził, że temu od dzieciństwa stawało wszystko przed oczy, co tylko zażądał, a jemu ino łaknąć i patrzyć, ino pracować w ciężkim pocie na kawałek powszedniego chleba. Źle jest na świecie, oj źle! Ten, co z biedy doszedł do jakiego państwa, chlubić się z tego powinien przed drugimi, bo jużciż większa jest zasługa z niczego dorobić się i fortuny i poszanowania u ludzi, niżeli mieć to wszystko od rodziców, i Bóg wie jak tego używać, a często i stracić. Ale poradziż temu z ludziskami, którym się zdaje, że nazwisko kmiecia, to gorsze od nazwiska ładnie ubranego wydrwigrosza albo i próżniaka.

Otóż widzicie kochani moi czytelnicy, takem sobie też myślał przed ostatniemi świętami, bo i mnie moje państwo strasznie ciążyło na sumieniu. Nie jestem człekiem pierwszéj młodości, nie jestem biedny, bo mam dwie kamienice w Warszawie i grosza gotowego dosyć, nie łaknę zaszczytów, bo i tak nazywają mię ludzie jaśnie wielmożnym, a wielcy panowie przychodzą do mnie i ściskają ręce, tytułując swym przyjacielem; ale przed czterdziestu kilku laty byłem sobie biednym, obdartym chłopakiem we wsi, pasałem krowy u gospodarza chłopa, nosiłem chwast dla trzody matusi, i śpiewałem sobie

różne krakowiaki, i kto wie, czy nie byłem szczęśliwszym, niż dzisiaj.

Dużo pieniędzy, to dużo kłopotów, a mało zdrowia; a dla mnie jeszcze gorzéj, bo nie mam ani żony, ani matki, ani brata, ani swata, ot sam jeden, jak palec Boży na świecie. Więc jakem to wszystko sobie przedstawił, jak zacząłem myślą schodzić w lata dawniejsze, tak mi stanęła przed oczy mała, do ziemi przyczupnięta chałupa, w któréj matka moja, wdowa po gospodarzu siedziała komorą, a w téj chałupie ową izdebkę bez podłogi z maleńką szybką zamiast okna, i stare sosnowe łóżko, i w pasy pierzynę i w kwiaty skrzynkę na kółkach, i ową ławkę koło pieca i kilkoro gęsi gęgających za piecem. A zimno i dobrze zimno było w téj izdebce; matka mnie i młodszego brata Sobusia wsadziła do łóżka, a sama obracając żarna, grzała się jak mogła. Mój miły Boże, gdzież to się podziało? Gdzie matula, gdzie Sobek, gdzie owa chata, gdzie ta wieś i gdzie owe czasy? Cóż mi z tego, że ja mam dzisiaj piękne komnaty, huk pieniędzy, ciepłe ubranie i szklącą karetę? Cóż mi potem, kiedy nie mam nawet zdrowia, nie mam rodziny, nie mam żywej duszy, coby mię przygarnęła do siebie, ochuchała swem ciepłem, powiedziała: tyś mój najdroższy Kajetanek!

Pamiętam jak przez sen, że w owych czasach były wielkie wojny na świecie, i o tem gadali po wsi, i wszystko, co żyło uciekało do lasu. Matula jednéj nocy spakowała w dużą płachtę swój przyodziewek, zakopała w komorze skrzynkę z różnemi rzeczami, a nazajutrz obawiając się napadu żołnierzy, mieliśmy pójść z drugimi do lasu. Ale w nocy zaniemogła bardzo; przychodziły kumoszki, dawały jéj różne leki, próbowały podnieść ją z łóżka—wszystko na nic się nie przydało: matula krzyczała w niebogłosy, a tymczasem wpadli żołnierze, zarznęli krowę, zabrali gęsi, garnki potłukli, a jeden jak mię kolnął w głowę żelaznym bagnetem, to długo bardzo krwi zatamować nie mogłem.

Wieczorem zwlekła się matka ze swego posłania, obwinęła mnie i Sobka w stare płachciny, a choć chwiała się na nogach, to jeszcze niosła młodszego brata na ręku, a mnie powiodła ku lasowi.

Straszliwe zimno było na dworze, deszcz lał jak z cebra, noc ciemna, nigdzie światła, ani żywej duszy. Szliśmy tak bardzo długo; matula jęczała, przysiadując na ziemi, a Sobek krzyczał na całe gardło, ona go zaś tuliła jak mogła i znowu szła dalej a dalej... Deszcz nie ustawał, wszystko przemokło na mnie, a lepka glina oblegając nogi, przeszkadzała w chodzeniu. Nareszcie nie mogąc wytrzymać dalszej drogi, jak sobie przysiadła matula pod jakimś kopcem, tak ani rusz: położyła Sobka na mokrej ziemi, ja ległem obok niego, nakryła nas swoją sukmaną, i płacząc wszystko troje, oczekiwaliśmy zmiłowania Bożego.

Co tam było dalej, już nie pamiętam; zmęczony, przemokły i zgłodniały, usnąłem na dobre, a kiedym otworzył oczy, jakiś pan stał nademną wołając: hej! hej! co wy tu robicie? Zerwałem się na równe nogi; słonko już zeszło, deszcz ustał, ale mamunia powalana błotem leżała, przykrywając jeszcze swoją sukmanką śpiącego braciszka.

Zaczął mi się ten pan rozpytywać, com za jeden i co tu robię; gadałem, co mogłem i jak umiałem—potem zawołał chłopa stojącego z wózkiem na drodze, podnieśli matunię, ruszali nią w tę i w ową stronę, ale była zimna, zesztywniała, bez oddechu, poprostu nie żyła już na tym świecie.

— Zmów pacierz za duszę matki i siadaj do wozu, powiedział do mnie ten wąsaty jegomość. Opierałem się, krzyczałem, prosiłem, padając do nóg, żeby mię od matki nie zabierał; ale on nie słuchał tego, a gwałtem wsadził do wozu, chłop furman to samo zrobił z Sobkiem, konie zaciął i pojechaliśmy dalej... Nad wieczorem dopiero, stanęła fura koło jakiegoś lasu, pan wysiadł i nam kazał iść za sobą. Niedaleko był dworek bieluśki i ładny; sędziwa pani, żona naszego dobrodzieja dała nam kolacyę, kazała posłać w czeladnej izbie i nie płakać za matulą, bo jej w niebie u Pana Boga jest lepiej, niż nam tu na ziemi. Nazajutrz ten sam furman zabrał do wozu mojego Sobka, pan rozkazał nam się pocałować, i od tego pocałowania już go więcej moje oczy nie oglądały.

Jak tam dalej szło życie, jakem się wyuczył różnych rzeczy, jakem się dorobił dzisiejszego majątku i stopnia, długaby o tem historya. Później da Bóg doczekać, jeżeli mię posłuchać będziecie chcieli, to wam rozpowiem o moim dorobku, a teraz zaś, kiedy mówię przypomniałem sobie to wszystko, siedząc w moim pokoju, taki mię wielki żal opanował, żem jak małe dzie-

cko rozpłakał się naprawdę. Tyle lat, tyle lat mój Boże! i nie spytać się o brata i nie poszukać, nie przytulić do serca, to zbrodnia, to grzech śmiertelny, mówiło mi sumienie. Czy żyje, czy nie żyje, czy w biedzie, czy w dostatkach, zawszeć to brat mój rodzony, zawszeć jedna krew, towarzysz mego dzieciństwa, syn méj biednej matki, która dla naszego ocalenia życie utraciła.

Oj! źle Kajetanie, źle, pomyślałem sobie, zanosząc się od płaczu. I jakem zaczął desperować, jakem zaczął wymyślać na siebie, że jadam z spokojnem sumieniem drogie potrawy, jeżdżę karetą, bawię się szczęśliwy, gdy tamten, kto wie, czy nie umiera z głodu, lub upada pod jarzmem ciężkiej pracy—więc odrazu upakowałem swoje zawiniątko, wziąłem kij w rękę i w dwie godziny siedziałem już w wagonie kolei żelaznej, taki swobodny, jakby mi połowę życia przybyło.

—

W téj pięknej a ukochanej od Boga krakowskiej okolicy, gdzie czarna i pulchna ziemia tak dobrze płaci rolnikowi za jego prace i mozoły, w tém siedlisku najweselszych w świecie piosenek, leży mała wioseczka Zębocinem zwana. Ładny czerwono-pomalowany kościołek, dawne probostwo naszego Sgo Stanisława biskupa krakowskiego, rok rocznie w dniu 8 maja sprowadza liczne tłumy pobożnych z okolicznych wiosek i miasteczek. Sama wieś niewielka, lecz schludna: chaty wybielone, ogródki i sady koło nich, a lud pracowity i skrzętny od najdawniejszych czasów słynie z odwagi i męztwa, słynie z bijatyk odpustowych i karczemnych, choć żadnej nieuczciwości przypisać mu nie można. Do dziś dnia opowiadają ludzie o jednym parobku z Zębocina, co to pojechawszy z panem za granicę do niemieckiego miasta Drezna, narobił tyle hałasu po mieście, a panu kłopotów co niemiara; i na którego Niemcy tak się zawzięli, że go pan zaraz wyprawił do swego Zębocina.

Otóż w tym Zębocinie, w jednej z chałup na ustroniu stojących, w wigilią Bożego Narodzenia zabierano się do obiadu. Gospodyni niemłoda, ale jeszcze rzeźka kobiecina, kręciła się po izbie stawiając na stole, z makiem ze śliwkami i z olejem smakowite jedzenia. Sam gospodarz z parobkiem nosili ze stodoły snopki, i rozpościerali takowe na ziemi, a dziatwa klaskała w ręce, przewracając się i popychając po owej słomie. Na kominie buchał szeroki płomień, stary dziaduś siedząc na ławie obok pieca, przykładał suche gałęzie i smolne łuczywo, a najstarszy syn gospodarza dobierał okowitę z gąsiorka, smarował miodem opłatki i przewracał w kantyczkach, szukając tak niecierpliwie rok cały oczekiwanych pieśni kolendowych.

Już miano siadać do stołu, już odkrząkując i odrzucając siwą czuprynę stary dziaduś, zabierał się do łamania opłatka, gdy silne kołatanie dało się słyszeć ze dworu.

— A któż ta o téj porze? mówi krzywiąc się stary Marcin, dyć na wigilią każden siedzi doma.

Odsunięto zasuwę i weszło do izby dwóch ludzi: jeden młody parobczak, służący od karczmarza, a za nim niemłody już otyły, popańsku przybrany mężczyzna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! przemówił nieznajomy, zdejmując czapkę, a na ten głos wzdrygnął się stary Marcin i przyskoczył do drzwi, odpowiadając: Na wieki wieków Amen!

— Mój gospodarzu, rzeknie ów pan, mam pilny interes dojechać dziś w nocy do Proszowic, słyszałem, że wy macie konie do wynajęcia.

— Mam ci, mam, to prawda, z łaski Pana Boga wielmożny panie, odpowiada Marcin, spoglądając na przybyłego, ale dziś, o téj porze... nie pojadę.

— Dobrze zapłacę mój gospodarzu, zmiłuj się...

— A choćby wielmożny pan i więcéj zapłacił niż konie warte, to nie pojadę; dziś u nas wigilia, wielkie święto, grzech..

— A i u mnie święto mój gospodarzu, ale gdzież tu się podzieć przez tę noc w karczmie? księdza proboszcza nie znam, dworu tu niema.

— Eh, co ta o to, to niewielka rzecz proszę wielmożnego pana. Dyć i u nas jeżeli wielmożny pan nie wzgardzi, znajdzie się jaki kącik, i to mówiąc, spojrzał na młodego gospodarza i na jego żonę.

— A tak proszę wielmożnego pana, wtrąciła, śmiejąc się i schylając do nóg przybyłego kobieta, niech wielmożny pan będzie łaskaw; gadają że to szczęście w domu, jak się gość na wigilią trafi...

Do tej prośby przyłączył się jej mąż, a syn owego starca. Nieznajomy myślał i myślał, ale gdy go zapewniono, że nazajutrz pod wieczór wyjedzie, a nikt we wsi na dzisiaj koni mu nie-

da, rad nierad przyjął te zaprosiny i podróżny tłumoczek z karczmy przynieść rozkazał.

Otóż moi kochani czytelnicy, tym nieznajomym podróżnym byłem ja, com szukał brata, com zjeździł wszystkie wioski w Proszowskim okręgu, com się wypytywał każdego, szukał po księgach ludności, po księgach parafialnych, i dotąd najmniejszego śladu nie znalazł. Bo po tylu latach pamiętając tylko, że matka mieszkała niedaleko Proszowic, cóż dziwnego, że nawet wsi owéj odkryć nie mogłem. Mało co ludzi żyło z tego czasu, a ci co żyli, żadnego znalezionego pod kopcem Sobestyana nie pamiętali.

Jakem się już roztasował w chałupie, musiałem łamać się ze wszystkimi opłatkiem i zjeść z poczciwemi ludźmi ów obiad wigiliowy, który nie wiem czy dlatego, żem był głodny, czy istotnie przypadł mi do smaku, ale z całą zapalczywością zmiatałem.

Straciłem już był nadzieję odszukania brata, więc zamyślony patrząc na uciechy dziatwy przewracającéj się po rozesłanéj na ziemi słomie, przypominałem sobie mgliste lata dziecińśtwa, i żal tem większy ścisnął mi serce. Zaczęto śpiewać kolendy, najstarszy syn gospodarza, a wnuk starego Marcina wysmukły i dorodny parobczak, umiał na książce i wybierał najładniejsze pieśni, a wszyscy obsiadłszy go dokoła, z prawdziwą wesołością łączyli swe głosy powtarzając: hej kolenda, kolenda!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korzyści z Kassy Oszczędności.

(Patrz nr. 11 Czytelni z r. b.).

—

O ustanowieniu Głównéj Kassy Oszczędności w a Wrszawie.

Przez wzgląd na rzeczywistą korzyść, wynikającą z oszczędności w gospodarstwie i chęć podania niedostatnim wszelkiego stanu mieszkańcom sposobności pewnego i korzystnego umieszczenia pomniejszych kwot, pracą zebranych; a przez to do pomnażania, do nagromadzenia z czasem pieniężnego zapasu, mogącego być wielce użytecznym, bądź przy rozpoczęciu jakiegokolwiek zawodu, bądź przez wejście w związek małżeński, bądź w nagłej potrzebie, starości, niemocy i w ogólności w przyszłych każdego potrzebach, zaprowadzono przez Ustawę z dnia 13 (25) Lipca 1843 r. w mieście Warszawie, przy Dyrekcyi ubezpieczeń, Główną Kassę Oszczędności, do przyjmowania na procent pomniejszych kwot, od osób mniej zamożnych, z zastrzeżeniem, iżby w miarę potrzeby, podobne kassy Oszczędności zaprowadzane były w innych miastach znaczniejszych Królestwa.

Kassy te zostają pod szczególną opieką Rządu, *który ręczy za całość i bezpieczeństwo powierzonych im funduszów, tudzież zwrot onych z narosłemi procentami, na każdę żądanie*, według zasad poniżej wskazanych.

Fundusze składane w kassach Oszczędności, nie podlegają żadnemu aresztowi, ani poszukiwaniu, celem zaspokojenia skarbowych lub prywatnych należytości; lecz zwrócone będą w całości wraz z narosłemi procentami osobom, takowe wnoszącym, i każdemu mieszkańcowi kraju wnosić będzie wolno do kass Oszczędności pomniejsze kwoty, w celu korzystniejszego ich umieszczenia.

Kassy Oszczędności nie mogą przyjmować na raz jeden od jednej osoby mniej, jak 15 kop. sr. (złp. 1); większe zaś kwoty przyjmowane będą przez nie nieinaczej, jak w stosunku 30, 45, 60, 75, 90 i t d. kop. sr. Od jednej osoby więcej nad 3 rs. w ciągu tygodnia, a w ciągu roku nad 150 rs. przyjmować niewolno.

Wszelka kwota do kassy Oszczędności złożona, przynosić będzie składającemu procent roczny po 4 od sta, licząc w dni 10 od daty wniesienia, procent takowy doliczać się ma do kapitału z końcem każdego roku i dalszy procent przynosić.

Gdy wniesione kwoty przez jednę i tęż samę osobę dojdą do 300 rs. (złp. 2000), w tenczas właściciel obowiązany będzie odebrać ją, najdalej w trzy miesiące, licząc od dnia uzbierania się wnoszonych kwot do wskazanej summy. Po upływie tego czasu, cały kapitał nieodebrany przez właściciela, zachowany będzie w depozycie kassy Oszczędności; i chociaż przynosić ma procent roczny po 4 od sta, wszelako procent takowy dolicza się do kapitału i dalszego procentu przynosić nie będzie. Kassa Oszczędności na żądanie właściciela zwraca mu kapitał z procentem prostym, w stosunku 4%, począwszy od dnia upłynienia wyż wspomnionych trzech miesięcy.

Fundusze do kass Oszczędności wniesione,

mogą być odebrane w całości lub części. Żądania właścicieli o zwrot summ 150 rs. (złp. 1,000) nieprzenoszących, zaspokojone będą niezwłocznie; zwrot zaś funduszów, sumę tę przewyższających, nastąpi nie późniéj, jak w dni 10 po wypowiedzeniu.

W miarę otrzymywanych wpływów, kassy Oszczędności przelewać będą takowe do Banku Polskiego na procent, w summach okrągłych; wszelako w kassach pozostanie pewny fundusz dla zaspokajania cząstkowych zwrotów.

Bankowi Polskiemu poruczone jest dalsze produkcyjne użycie przelanych doń funduszów kass Oszczędności, z obowiązkiem:

a. Opłacania za nie procentów kassom po 4 i pół od sta.

b. Zwracania funduszów tych, za poprzedniém przez kassy wypowiedzeniem, podług zasad dla Banku wskazanych.

Z wyż wspomnionego procentu 4 i pół przez Bank opłacanego, 4 służyć ma na prowizyę zapewnioną składającym, a pół od sta, na koszta administracyi kass Oszczędności.

Kassy Oszczędności zostając pod zarządem Dyrekcyi Ubezpieczeń, przykładać się będą do kosztów etatowych téjże Dyrekcyi, w sumie corocznie, na jéj wniosek przez Komisyę Rządową Spraw Wewnętrznych i Duchownych oznaczonéj, która przestrzegać będzie, ażeby summa na koszta administracyi kass Oszczędności, nie przenosiła wyznaczonego na ten przedmiot funduszu (z przewyżki procentowéj pół od sta)—wreszcie:

Wszelkie w ogólności działania kass Oszczędności, wolne być mają od użycia papieru stemplowego, korespondencye kass, i z niemi, nie ulegają opłacie pocztowéj; od przesyłek zaś pieniędzy do kass oszczędności wnoszonych, lub przez też kassy do Banku przelewanych, taka tylko opłata ma być pobierana, jak od funduszów skarbowych.

Kassa Główna Oszczędności zaprowadzona w skutek powyższej Ustawy mieści się obecnie przy ulicy Miodowéj, w gmachu rządowym, zajmowanym przez Rząd Gubernialny Warszawski, i przyjmuje składki czyli wnoski *w każdą sobotę* od godziny 5 po południu do 8 wieczorem, *i w niedzielę* od godziny 10 z rana do 1 z południa.

Dzień *wtorkowy* każdego tygodnia, od 9 z rana do 1 z południa przeznaczony jest do przyjmowania żądań zwrotu kwot, w kassie Oszczędności posiadanych. Jeżeli wypowiedziana summa nie przenosi rs. 150 (złp. 1000, wypłata jéj uskutecznioną zostanie w następny piątek, to jest w dni trzy od daty wypowiedzenia; summy zaś przenoszące rs. 150, płacone będą w drugi piątek, czyli w dni 10 po wypowiedzeniu.

Ta łatwość wycofania złożonego funduszu na każde zażądanie, i to w tak krótkim przeciągu czasu, jest korzyścią nader obfitą w szczęśliwe następstwa; nietylko bowiem ustala ufność i wzbudza spokojność, lecz nadto ściąga masę *wniosków*, któreby nie miały miejsca, bez tego podwójnego warunku, nie napotykanego nigdzie indziéj. Pożyczający, nie lękając się wejść w zobowiązanie, które mocen jest w każdéj chwili i stosownie do swéj woli lub okoliczności rozwiązać, nierównie jest skłonniejszym do wzięcia w dobroczynnem tem dziele pożytecznego dla siebie udziału, gdyż tysiące jest wypadków w życiu, które mogą w każdéj chwili zniewolić go do użycia w inny sposób swych oszczędności.

O wpływie Kass Oszczędności na obyczaje i bogactwo publiczne.

Dobro, jakie wywierają kassy Oszczędności, tak pod względem wpływu swego na obyczaje, jako i wzrost powszechnego bogactwa, jest niezmierne. I w istocie otwierając one klassie robotniczéj możność pożytkowania z najdrobniejszych oszczędności, przyzwyczajają lud do oglądania się na przyszłość, zachęcają go do pracy, a przez to odwracają od próżniactwa, źródła wszelkiego złego. Wpływają na zmniejszenie żebractwa, tej bolesnéj rany społeczeństwa, zaszczepiają we wszystkich klassach ludności zamiłowanie rządności i oszczędności, i oddziaływają tym sposobem pośrednio lecz skutecznie, na utrzymanie dobrych obyczajów, tej najsilniejszéj podpory porządku.

Polepszając los jednostek, przyczyniają się one do zwiększenia ogólnego bogactwa krajowego, gdyż kraj każdy, o tyle jest bogatszym, o ile mieszkańcy jego są zamożniejszymi. Co więcej, ściągając one do siebie i zgromadzając w jednę całość dla ich upożytecznienia najdrobniejsze kwoty, któreby spoczywały bezczynnie, tworzą z tego kapitały, które puszczone w obieg przez

pośrednictwo Banku, zwiększają obieg monety, nadając tym sposobem nowe życie przemysłowi krajowemu; obok tego zaś zapewniają uczestnikom swym znakomite korzyści, przez ciągłe procentowanie składanych *wniosków* i kapitalizowanie procentu, przez przyliczanie go coroczne do kapitału.

Dla dotykalniejszego objaśnienia tych korzyści, nie od rzeczy będzie przytoczyć kilka przykładów, wspartych cyframi —i tak:

Posiada ktoś, obok swej profesyi, z któréj ma życie, drobny kapitalik, zbywający mu od potrzeb zakładu; dajmy na to 100 rs. Kapitalik taki trzymany w domu, nic mu nie przyniesie i łatwo rozejść się może, oddany zaś do kassy Oszczędności na procent przyrostowy, wzrośnie po latach 10 do rs. 148 kop. 1, po latach 15 do rs. 180 kop. 8, po latach 20 do rs. 219 kop. 9.

Wogóle, jakakolwiek kwota dana na procent przyrostowy, po upływie lat 18, nietylko podwaja się, lecz pozostaje jeszcze mały naddatek. Owe np. 100 rs. po latach 18 dadzą rs. 202 k. 16.

Kto nie posiada żadnego kapitału, może przyjść do tego, przez wnoszenie peryodycznych składek do kassy Oszczędności, w stosunku takim, który nie będzie dlań wcale uciążliwym — i tak:

Składając tygodniowo po złotówce (15 ksr.), otrzyma się po latach 10 summę złotych 627gr. 9, po latach 15 złp. 1046 gr. 8, po latach 20 złp. 1555 groszy 25.

Składając po złp. 2 (kop. 30) otrzyma się po latach 10 złp. 1263 gro. 9, po latach 14 złp. 1924 gr. 20.

Składając po złp. 3 (kop. 45), otrzyma się po latach 5 złp. 856 gr. 24, po latach zaś 10 złp. 1899 gr. 7.

Składając po złp. 4 (kop. 60), otrzyma się po latach 4 złp. 896 gr. 19, po latach zaś 8 zł. 1945 gr. 17.

Cyfry te, tak są wymownemi, że nic nie potrzebujemy do nich dodać; widzimy wszakże potrzebnem nadmienić, iż z przytoczenia powyższego, nie należy bynajmniej wnioskować, ażeby było obowiązkiem wnoszenie do kassy składek regularnych i jednostajnych; pod tym albowiem względem pozostawiona jest zupełna wolność. Każdy złożyć może tyle, ile jest w stanie, i wtedy, kiedy mu to jest najdogodniej.

Zakończenie.

Nie ma tak drobnej oszczędności, któraby powtórzona codziennie, nie uczyniła w przeciągu roku, pewnej kwoty, a wytrwawszy w podobnej oszczędności przez lat wiele, rezultat ztąd osiągnięty będzie nierównie znaczniejszym. Wyrobnik naprzykład, który, dajmy na to, wydaje codziennie 5 lub 10 groszy, któreby mógł oszczędzić, a wydaje je w mniemaniu, że nie będzie ani uboższym, ani bogatszym z kilku groszami mniej lub więcej w kieszeni, rozumuje bardzo fałszywie. Podobnym on jest do tych, którym się zdaje, że nie są starszymi dziś, niż byli wczoraj; jak gdyby upływ czasu, dlatego że niepostrzeżony, mniej był przez to rzeczywistym.

A jeżeli zważymy jeszcze, że te drobne oszczędności procentują się, i że ten procent doliczony do kapitału, znowu procentować się będzie, to pojmiemy łatwo, że wzrost kapitaliku będzie jeszcze szybszym i znakomitszym, co właśnie ma miejsce w kassie Oszczędności, jakeśmy to wyżej wykazali.

Wy zatem ojcowie ubogich rodzin, pracownicy wszystkich klass społeczeństwa, wy nadewszystko rzemieślnicy i wyrobnicy wszelkiego rodzaju! nie niweczcie przyszłego losu waszych dziatek ujęciem kilku lub kilkunastu groszy codziennie, zwilgoconych potem waszego czoła, ażeby stracić je marnie w szynku na grę, lub gorzałkę. Spieszcie raczej do kassy Oszczędności, tego ze wszech miar dobroczynnego zakładu, którego dotykalne korzyści skreśliliśmy wam powyżéj. Oszczędźcie z waszego tygodniowego wydatku jednę przynajmniéj złotówkę, (jeżelibyście nie mogli więcéj), wytrwajcie w téj oszczędności przez lat 10, a staniecie się w końcu tego czasu właścicielami kapitaliku, w kwocie złp. 627 gr. 9. Spełnicie tym sposobem wasz obowiązek, i znajdziecie za to sowitą nagrodę, i w czułéj wdzięczności waszéj rodziny i w własnem przekonaniu. Zbierzecie ztąd błogie owoce: gdyż zadowolenie wewnętrzne i spokój duszy, towarzyszące zawsze spełnieniu obowiązku i porządnemu prowadzeniu się, przyczynią się o tyle do utrzymania waszego zdrowia i domowego szczęścia, o ile oszczędności wasze do wzrostu waszego drobnego mienia.

Ułożenie Sokołów do polowania.

Liczny rodzaj ptaków drapieżnych zwany *Sokołami* mieści w sobie mnóstwo ptaków, po większej części pomniejszych, z nagle zakrzywionym dziobem, żyjących żywym łupem, który w locie lub z ziemi porywają. Tu należą najwaleczniejsze i najsilniejsze stosunkowo do wielkości ptaki, znakomite szkody w zwierzynie i drobném pożytecznem ptastwie wyrządzające.

Pomimo drapieżności, niektóre gatunki łatwo się oswajają i dają ułożyć do łowienia ptastwa i mniejszych zwierząt. Użycie sokołów do polowania powszechną przedtem było zabawą ludzi zamożnych i samych nawet monarchów. Na dworach utrzymywano w tym celu szczególnych urzędników zwanych *Sokolnikami*, których głównem zatrudnieniem było oswajanie sokołów, a liczbę tak ułożonych ptaków uważano za okazałość dworów. Ułożenie sokołów do polowania polega na ułagodzeniu ich dzikości; to zaś łatwo osiągamy, utrzymując ptaka kilka dni i kilka nocy w bezsenności. W tym celu związawszy sokołowi nogi, sadza się go na obręczy drewnianéj, bardzo ruchoméj, zawieszonéj na sznurze; skoro tylko sokół tak umieszczony zacznie drzémać, za najmniejszém straceniem równowagi budzić się musi. Trzy dni tak przepędzone, są dostateczne do ułagodzenia ptaka, który rzec można głupieje, zapomina o przeszłym stanie dzikości, i rozkazom ptasznika staje się posłusznym. Sokół tak złagodzony, wynosi się w pole, gdzie mu ptasznik różne ptastwo i pokarm ukazuje, i na dany znak do powrotu na rękę przyzwyczaja.

Chcąc odbywać łowy z sokołem, sokolnik zakrywa mu oczy rzemiennym kapturkiem i niesie na ręku; skoro ujrzy jakiego ptaka lub zwierzę do polowania zdatne, zdejmuje kapturek sokołowi, ten wzlatuje wysoko, uderza na zdobycz, zabija ją i spokojnie z nią na rękę sokolnika powraca. Dobrze ułożony sokół płacił się dawniéj po kilkaset złotych. W dzisiejszych czasach polowanie sokołami u nas prawie zupełnie jest porzucone; w niektórych jeszcze krajach szczerze się niem zajmują, jakoto: w Hollandyi, na Kaukazie, w Stepach kirgizkich i w Algieryi. Należy przytem wiedzieć, że każdy gatunek sokołów układa się na łowienie jednego gatunku ptaka lub zwierza, tak dalece, że sokół przyzwyczajony do łowienia czapli, nie zrywa się na kuropatwy lub przepiórki, i odwrotnie. Wreszcie drapieżny ten ptak przypomina sobie często pierwotny swój stan dzikości, i wolno puszczony na złowienie ptaka lub mniejszego zwierza, nie wraca więcéj na rękę sokolnika.

Z oddziału sokołów, tak zwanych *szlachetnych*, czyli takich, co się łatwo oswajają do łowienia ptastwa, następujące głównie do tego celu są najprzydatniejsze:

Sokół Białozór czyli *islandzki*, znajdujący się na północy Europy, używa się do łowienia żurawi, czapli, zajęcy, gęsi i dropiów.

S. *Raróg* żyjący we wschodniej Europie, znajduje się także na Podolu i w Galicyi, poluje na czaple, kaczki, kuropatwy i zające.

S. *Wędrowny* żyje w całej Europie, u nas nielicznie się znajduje, używa się na kuropatwy, czaple i zające.

S. *Drzemlik*, pospolity w całej Europie, ze wszystkich sokołów najmniejszy, używa się tylko na drobne ptastwo; stosunkowo jest bardzo odważny, bije większe od siebie ptaki, jak gołębie i kuropatwy.

S. *Kobuz* pospolity w całej Europie, lubo ma wszystkie cechy sokołów szlachetnych, niezdatny jest przecież do polowania na ptastwo, gdyż przekłada żywność z owadów nad ptaki.

S. *Jastrząb* i *Krogulec* u nas pospolite, używane bywają nie tak do łowienia ptastwa, jak raczej do przestraszania bojaźliwych, ażeby je można było przykrywać sieciami. Takiemi właśnie ptakami są kuropatwy i przepiórki. Sokoły takie wzbiwszy się w górę, krążą nad kuropatwami lub przepiórkami na ziemi siedzącemi, które przestraszone ich widokiem, nieporuszone zostają i dają się łatwo podejść człowiekowi, który je nakrywa siatką.

W okolicach Orenburga i w stepach kirgizkich do polowania na większe zwierzęta układają gatunek zwyczajnego orła, którego tam zowią *Birkutem*, a który łowi młode antylopy (dzikie kozy), sarny, zające i lisy.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 4 (16) marca 1858 r. Starszy cenzor, F. Sobieszczański.